№ 10. Warszawa, dnia 27 Lutego (10 Marca) 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POEZYE
MARYI KONOPNICKIEJ.

Serya III.

(Dalszy ciąg.)

Niepodobna jest nam, w artykule dziennikarskim o zakreślonych dość ściśle ramach, oceniać szczegółowo całe szeregi rozlicznych formą i myślą utworów, zapełniających książkę o trzystu kilkudziesięciu stronicach...

Rozbiór taki znagliłby nas do nadużycia cytat, których strzedz się musimy a w rezultacie osłabiłby wrażenie, jakiego czytelnik tylko z przeczytania całości dzieła doznać może.

Bądź co bądź, jednak, musimy chociaż treściwie, zdać czytelnikom naszym sprawę z tej zajmującej i niepowszedniej w bieżącem wydawnictwie naszem nowalii...

Autorka porządkując utwory przeznaczone do tej trzeciej seryi, podzieliła je na pięć grup głównych, nadawszy każdej z nich tytuł ogólny. Są tu więc dwa biblijne utwory p. t. „Z ksiąg prorockich", dalej idą „Freski", „Żywym i umarłym", potem „Na palecie" i „Z chaty". Szóstą grupę, najobszerniejszą rozmiarem, stanowią „Przekłady", zajmujące w tej książce około 150 stronic.

W dziale „Z ksiąg prorockich", poetka pomieściła aluzyą, w której zaznacza, już na samym wstępie tej książki, jej główną ideę. *Nabi* (prorok), słuchając tam lamentów swojego ludu skazanego na tułactwo i niewolę, nie dozwala mu upaść na duchu i woła:

„Więc ja mam głos! Więc ja wam śpiewać poczną!
Ja płomień tchnę w te smutki wasze mroczne,
I pieśnią wam przysporzę serca bicie,
Na nowy bój, na nowe, męzkie życie!

Więc ja mam głos! Ja ptak spętanych skrzydeł,
Zerwanych strun narodu lira brzmiąca,
Na wichrach pieśń uniosę z ziemi sideł,
I gniazdo jej położę w blaskach słońca."

Wśród grupy „Fresków" malowanych istotnie szeroko i plastycznie nawet, najsilniej uwydatniają się 3 ci i 4-ty p. t. „Demos Cezarowi" i „W rocznicę Termopilów".

Obadwa te prawdziwie piękne, zarówno myślą jak formą, acz krótkie utwory, stanowią główną tej „seryi" ozdobę. Różnią się jednak pomiędzy sobą najzupełniej i tonem i formą, jakby dla wytworzenia efektownego kontrastu.

W pierwszym z tych fresków nietylko z myśli lecz z każdej, rzecby można litery, tryska ostry promień ognistej ironii. Demos pozdrawiając nowego Cezara Romy, urąga jednocześnie ludowi, który go okrzykami uwielbienia wita.

Z siedmiu strof w których autorka pomieściła cały ogrom urągowiska i tłumionej rozpaczy, przytoczymy cztery; ani słabsze ani silniejsze od reszty, lecz dające czytelnikowi miarę wartości chociażby artystycznej tylko, tego prześlicznego utworu:

Ave Caesar! Roma cała
Klaszcze tobie w dłonie...
Jaki blask ci w oku pała!
Jaka szata twoja biała!
Jakie rącze konie!

Ave Caesar! Jak nam błogo,
Że tak jasne masz oblicze!
Że nam karki depcesz nogą,
Że w arenach biją trwogą
Echa tajemnicze.

Jak dzień wstajesz rubinowy
W chmurze łez i w krwi oparze,
Nad jasnością twojej głowy,
Lata orzeł kwirytowy,
O bozki Cezarze!

Na twej drodze, gaśnie słońce,
Na twej drodze, rzeki krwawe...
Oto usta konające
Szepcą tobie, sine, drżące:
— Ave Caesar!... Ave!

Fresk, „W rocznicę Termopilów" jest rzeźbą raczej, niż malowaniem. Staje tu bowiem przed nami, jeden posąg boleści ulany ze spiżu. To Tymon, grek, lecz już z czasów Romy, który badając dzieje bohaterskiej Hellady, przypomniał sobie, że było to właśnie w rocznicę walki w Termopilach. Więc podniósł głowę, przystroił się uroczyście i zapaliwszy pochodnię, poniósł wieńce z kwiatów na Termopile, by tam w obec Romy przypomnieć bogom, iż w tym historycznym wąwozie, leżą prochy trzystu bohaterów, ojców jego, po krwi i po duchu...

Lecz gdy „przyszedłszy zobaczył strzaskane kolumny, co się do stóp rzuciły marmurowym progom i były jako białe kości albo trumny... A po nich szły umarłych płótna — pajęczyny, bo jest wstyd co osłania rany i ruiny."

Gdy dalej jeszcze, już w sercu świątyni, spostrzegł białą „Atene" wielką boginię praojczystą, co:

Strącona z narodowych, najczystszych ołtarzy
Leżała w brudnych pyłach, jak martwe tułowy,
Ramiona jej odcięte od piersi i głowy,
Na stopach marmurowych ohydne powrozy,
Któremi ją wleczono przez rzymskie obozy.
A twarz zimna, zwrócona pod ciche błękity,
Milczeniem się skarżyła, bo wzrok był zabity.

Gdy spostrzegł to wszystko, cofnął się i:

...W tem spustoszeniu stojąc, z gorzkim płaczem,
Puścił z rąk załamanych pochodnię i kwiaty,
Bo nie miał ofiarować komu ani na czem!

Ten grek-Tymon, stojący w ten sposób w obec rozbitych i zelżonych pamiątek chwały praojczystej, jest istotnie posągiem, który pani Konopnicka, piórem, jak dłutem, w marmurze poezyi wykuła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Aleksander Półkozic.

O MIŁOŚCI.

(URYWKI Z RÓŻNYCH POETÓW.)

I.

Z PIOTRA CORNEILLE'A.

Zbyt często z despotyzmem Amor chodzi w parze,
Gdy mówi, trzeba zmilczeć; słuchać gdy rozkaże:
I ten bożek na pozór naiwna dziecina,
Uległe nasze serca do swych praw nagina.

II.

Z ALFREDA de MUSSET.

Kocham, a obojętność przezemnie przemawia,
Kocham, a miłość moją kryję przed profanem:
I drogim mi jest smutek co serce zakrwawia,
Bo choć mnie twa nieczułość nadziei pozbawia,
Widzę cię, to już dla mnie szczęściem niezrównanem.

III.

Z TOMASZA MOORE'A.

Gdy miłość się podejmie
Rozsiewać same kwiaty,
Ja wówczas do mej chaty,
Zaproszę ją uprzejmie;
Lecz gdy przywodzi zdradnie
Tłum westchnień, łez i żali,
Ból serca i tam dalej,
O! wtedy niech przepadnie!

IV.

Z TENNYSON'A.

Mam to za prawdę i głoszę ją stale,
Choćby świat w zamian szyderstwem odpłacił,
Ten jest szczęśliwszy, kto kochał i stracił,
Od tego, który nie mógł kochać wcale.

Tłomaczyła *Emilia.*

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Straciwszy z oczu nienawistny przedmiot gniewu, panna Anna uspokaja się powoli. Odgarnia splątane włosy z czoła i odszedłszy kilka kroków na stronę, siada na pniu powalonego, spruchniałego dębu. Ulokowawszy się na jednym końcu długiego trupa, wiekowego staruszka, opiera łokcie na kolanach, ujmuje w rączki płonącą jeszcze twarzyczkę i poczyna rozmyślać:

— No — mówi sobie w duchu, z silnem uczuciem zadowolenia — tym razem zdaje się, że jednem cięciem rozerwałam „różany" jak mówią poeci węzeł, łączący mnie z sympatycznym mym kuzynkiem!... Będzie ztąd trochę szumu, trochę kwasu... ale to zniesie się z filozofią. Obeszłam się z nim ostro, jak na to zasłużył. Nie żałuję tego ani trochę... Pocóż ja też siadałam do tego wolantu! ale któż mógł przewidzieć. Sądziłam, że bądź co bądź, jest przecież dobrze wychowanym.

Gorąca fala rumieńca oblewa uroczą twarzyczkę, wywołana wspomnieniem słów namiętnych, szeptanych jej przez pięknego napastnika. Zapłonieniu temu towarzyszy poruszenie purpurowych ustek, wyrażające głęboką pogardę.

— Nareszcie przyszła kolej i na mnie. Wyznano mi miłość zupełnie seryo i nie mogę przyznać, żeby to było bardzo przyjemnem! Wystawiałam sobie te rzeczy wcale inaczej. Inne panny twierdzą, że oświadczyny sprawiają zawsze pewne miłe wrażenie, choćby wychodząc z ust kogoś, zupełnie nam obojętnego. Boże! z pewnością zostanę starą panną, skoro to wszystko wydało mi się poprostu nieznośnem!

Zakończywszy tym pewnikiem smutne rozmyślania, panienka przestaje się już zajmować tą drażliwą kwestyą.

Nie była jeszcze nigdy pod tę porę w lesie i poczyna rozglądać się po nim z wielkiem zajęciem.

Słońce zapada snać już gdzieś po za drzewami, bo głąb lasu zaściełają coraz głębsze cienie, przechodzące ku górze, w lekki ton sinawy, podczas gdy szczyty kniei kąpią się jeszcze w bogactwie jaskrawej purpury, ciśniętej nań szczodrobliwie, przez żegnającego ziemię, niebieskiego magnata. Niebotyczna gęstwina stoi w blasku tym nieruchoma, uroczyście cicha, zadumana, tchnąc z milczących swych głębi tajemnicze jakieś czary, obsiadające dusze ludzkie słodkiem rozmarzeniem.

Z głębi ciemnego jaru wstaje gęsty biały tuman, podnosi się jak duch wieczoru, porusza, kłębi, czepia drzew, krzaków, gałązek, coraz wyżej i wyżej i dziewczynka patrząc na niego z góry, myśli sobie, że gdy dosięgnie stóp jej, będzie już noc zupełna.

Uczyniwszy to spostrzeżenie, obraca się do milczącego swego towarzysza.

Stoi on nieopodal, obok pobitego rumaka i nie mając nic lepszego do roboty, patrzy jak w tęczę, w swą młodą panią. Spotkawszy żywe spojrzenie dziewczynki, wzdryga się wprawdzie z lekka jak ktoś przebudzony nagle ze snu, spuszczając prędko oczy, lecz fakt jest już odkrytym!

Wesołe, czarne oczy, zmusiwszy do rejterady szare, poważne źrenice, zapalają się blaskiem niemego tryumfu.

Korzystając z prawa, utrzymującego się na placu zwycięzcy, Anusia uśmiechając się figlarnie, poczyna obserwować w zamian sumiennie, twarz młodego człowieka.

Na ciemnem tle przesłoniętego mrokiem lasu, odcina się wyraźnie, wybitna sylwetka męzkiej głowy, z pięknym, szlachetnych rysów profilem, oblanym wyrazem głębokiej myśli i łagodnego spokoju. Panna Anna studyuje uważnie zajmujące to oblicze i mówi sobie, że rola którą podjął dumny chłopak, musi być przecież bardzo ciężką! Z tą niepospolitą twarzą i mądremi oczami, zaszyć się w skórę prostego służalca, wyprzeć wszystkiego, co stanowi właśnie ludzką, lepszą część naszego jestestwa, pilnować potem bacznie z dnia na dzień, z minuty na minutę, by nie odkryć jakiego śladu własnego człowieczeństwa, to jednakże straszne, to może stać się torturą, nie do zniesienia. A jednak, wolał to, niż tamto. Jakże tamto musiało być smutnem!...

Serce jej ściska ogromna, bezgraniczna litość. Czuje, że nie wytrzyma, rozpłacze się na głos, lada chwila rozszlocha bez ratunku i wyprawi Janowi piękne widowisko z swej osoby. Ma łez pełną pierś, dławią ją za gardło, cisną się do oczu, rozpłacze się z pewnością, jeśli nie zdoła się roześmiać. Boże! tego jej jeszcze potrzeba. W tej poszarpanej sukience i starganych splotach wstrząsana łkaniem, wyglądać będzie jak Ofelia. Tragiczna kreacya, oczy mokre, nos od łez czerwony... Nie! nie! ona nie znosi stanowczo dramatu!... Brrr!... Za nic w świecie!...

Bohaterka nasza parska w tem miejscu nagłym, wesołym śmiechem.

Klapa bezpieczeństwa otwarta, zbytek wewnętrznego rozrzewnienia dobywa się na zewnątrz gammą srebrzystego, swawolnego chichotu.

Wesołość ta, rozbrzmiewająca niespodzianie, wśród wieczornej ciszy, wywołuje w sposób sympatyczny nieznany uśmiech na usta stangreta, który podnosi na dziewczynę oczy lekko zdziwione.

Zdumienie to przyprowadza pannę Annę o nowy wybuch dobrego humoru. Po przemożeniu wzruszenia, opanowuje ją szatan pustoty i przekory.

Przestaje śmiać się i przechyliwszy na bok śliczną główkę, spogląda na Jana przez ramię filuternemi oczami.

— Zostaliśmy na czas pewien odcięci od reszty świata — wymawia zwolna. — Cisza leśna jest zajmująca, lecz nie na długo. Rzuć pan konia, panie ***ski, chodź tutaj i baw mnie, gdyż się nudzę!

Wyobraża sobie, że teraz nastąpić powinno coś, równającego się efektowi, uderzającego tuż pod nogi piorunu. Ale to coś nie następuje, a przynajmniej nie w tej co pragnęła formie.

Twarz Jana ciemnieje na chwilę, przelotnym rumieńcem. Młody człowiek spuszcza głowę jak winowajca, potem podnosi ją, prostuje się i patrzy w las, chwytając głęboko oddech w piersi. Po minucie głuchej ciszy, zwraca na dziewczynkę poważne, smutne spojrzenie i milczy.

Panna Anna spodziewała się sceny wesołej, tymczasem rzecz, przedstawia się poprostu przygnębiająco. Widzi, że zrobiła Janowi wielką przykrość, dotknęła lekkomyślnie bolesnej, drażliwej rany i pewność ta, doprowadza ją do najwyższej desperacyi. Zrywa się z obalonej kłody i udarłszy jeden jeszcze kawał, zaczepionej o szorstką korę grenadyny, staje przed nim blada, skruszona, z błagającem spojrzeniem i drżącemi usty.

— Daruj mi pan! — woła gorąco — nie chciałam zrobić panu przykrości... oh! nie chciałabym nigdy! Nie powinnam była tego powiedzieć. Postąpiłam jak dzieciak, lub istota pozbawiona delikatności i serca!

Przy pierwszych słowach dziewczyny, młody człowiek odkrył głowę i trzymając się stale swej roli, stoi przed nią wyprostowany, zamknięty w sobie, pełen uszanowania.

Spokój jego nie ochładza bynajmniej zapędu dziewczynki. Przeciwnie, doprowadza ją do większego jeszcze zapału.

— Weźże pan ten nienawistny kapelusz na głowę i nie graj ze mną komedyi, przynajmniej w tej chwili, czyż nie widzisz, że jestem w rozpaczy! — woła gwałtownie, prawie z gniewem.

Jan spogląda na swój kapelusz z uśmiechem, który nie jest może wesołym, lecz nie ma w nim cienia goryczy.

— Na dziś jeszcze muszę go zatrzymać. Jutro, zwrócę hrabiemu liberyę i odejdę.

Dziewczynka patrzy na niego ogromnemi, przerażonemi oczami.

— Oddalisz się?! Po co? dlaczego?! Czy sądzisz pan, że dlatego powiedziałam ci to, by cię ztąd wygnać?! Co ja uczyniłam!... Boże! Boże! ależ o tem nikt nie wie... nikt zupełnie... To ja tylko posiadłam twą tajemnicę. Widzisz pan... przeczytałam list, któryś dziś zgubił... ale nie zdradziłam cię i nie zdradzę! Nie chciałam upokarzać pana dumy. Boże, miałażbym szydzić z determinacyi, którą w panu uwielbiam! Powinnam była milczeć, prawda... ale gdy Endymion, rzucił tu kilka nędznych, głupich szyderstw, któreś musiał usłyszeć, pomyślałam sobie, że przecież musi być panu bardzo trudno, utrzymać się na tem stanowisku. Zdało mi się, iż będzie ci lżej trochę, gdy się dowiesz, że ktoś drugi zna twą tajemnicę, strzeże jej i może ci ją dźwigać. Naturalnie, postąpiłam niemądrze... i pan chcesz odejść. Ale nie! nie! nie odejdziesz wcale! Właśnie też na to nie pozwolę! Chcesz chyba, bym się zatruła myślą, iż pozbawiłam cię miejsca i chleba. To byłoby okropne! okropne... Oo! już... łzy!... najniepotrzebniej. Teraz już nie zdołam ich zatrzymać. Zmieniłeś mnie pan w elegię. Nienawidzę istot płaczliwych!... Poszukaj pan teraz urny i chwytaj perły, które ronię!

Słowa ostatnie powiedziane są z płaczem tak komicznym, że wywołują wesoły wybuch śmiechu Jana.

Dziewczynka patrzy na niego, uśmiechając się przez łzy, lecące gradem po różowej twarzyczce.

— O, śmiejesz się pan? to dobrze! Nie odejdziesz... prawda? — pyta, wyciągając do niego rączkę.

Młody człowiek ujmuje ją, lecz nie nakrywa głowy.

— Przyzna pani, że gdybym został, stosunek nasz wspólny teraz... gdy znasz pani mą przeszłość, byłby poprostu fałszywym.

— Fałszywym? dlaczego? — Pyta panna z głęboką naiwnością.

Jan uśmiecha się łagodnie.

— Nie umiem pani tego wytłomaczyć.

— Nie potrzeba też żadnego tłomaczenia! — przerywa energicznie, zapominając o łzach panna Anna. — Stosunek nasz, będzie sobie jak najprostszy. Będziesz mnie pan woził na spacer, jak dotąd; siodłał mi konia, jak dotąd; możesz nawet odkrywać przy ludziach głowę, gdy do ciebie przemówię, także jak dotąd! Nie zdradzę pana ani jedną sylabą, ani drgnięciem powieki!

— Obiecasz mi pani, traktować mnie jak zwykłego sługę?

— Obiecuję.

— I nie wspomnieć nigdy, nawet gdy będziemy sami, czem jestem... to jest byłem?

— Obiecuję.

— Więc zostanę.

— Dziękuję.

Młoda para ściska się za ręce. Panna Anna czyni to gorąco, z pewnym entuzyazmem, właściwym żywemu jej charakterowi. Jan znacznie chłodniej. Ujmuje na chwilę miękką, liliową rączkę, potem puszcza ją czyniąc nagle prędką uwagę, że robi się już zupełnie ciemno.

Sytuacya poczyna być istotnie nieprzyjemną. Po dniu gorącym, noc jesienna chłodna, zapada prędko.

Z głębin jaru podnoszą się coraz wyżej dymiące opary, zawisające po nad przepaścią mglistą zasłoną, kładącą się coraz szerzej po mchach i wrzosach.

Poetyczna ta wilgoć, przenika na wskroś, lekko odzianą osóbkę panny Anny, mocząc powiewne grenadyny i osiadając na starganych włosach, w postaci drobnych kropel rosy.

Dziewczynka twierdzi wprawdzie stanowczo, że wszystko to nic a nic jej nie szkodzi, przyzwyczajoną jest do zmian atmosferycznych i nie czuje wcale zimna. Ale Jan nie może temu uwierzyć, nie chce stanowczo pozostać dłużej w tem miejscu i proponuje, aby zamiast oczekiwać na pomoc, pójść zwolna na jej spotkanie.

— A koń? cóż zrobimy z koniem? — pyta panna niechętnie.

— Powlecze się powoli. Odbędziemy spacer bardzo nudny, lecz będę przynajmniej spokojny, że idąc, nie zaziębisz się pani.

Pannie Annie nie uśmiecha się wcale ten projekt. Nienaturalność położenia bawi młodocianą jej wyobraźnię. Miejsce nad urwistym jarem jest prześliczne, za chwilę zaś, skoro księżyc wybije się ponad drzewa i mgły posrebrzeją od bladych blasków, zmieni się to wszystko w czarodziejską dekoracyę!

Okoliczności odkrywają ludzi. Okazuje się niespodzianie, że łagodny, cichy Jan stangret, posiada twardą, niezłomną wolę. Uroki wieczora, mgły i srebrzyste promienie, nie działają na niego ani trochę. Z głębokim szacunkiem, ale stanowczo prosi dziewczynkę, by szła za nim i ująwszy cugle konia rusza przodem.

Bohaterka nasza nie należy bynajmniej do potulnych owieczek. Idzie za nim, bo nie może pozostać sama w lesie, lecz czyni to z maleńkim buntem w rezolutnem serduszku.

— Proszę — myśli sobie troszkę nadąsana — role się zmieniają. Mój własny stajenny, zmusza mnie do posłuszeństwa!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

TEATR.

Państwo Wackowie, komedya w 4 aktach, napisana przez Zygmunta Przybylskiego.

Któż z was nie zna tej pary szaławiłów, którzy tak wielką zyskali sobie sympatyę nawet u osób dbających o zachowanie form towarzyskich wśród młodzieży? Wacek i Wicek pomimo swych wybryków byli w gruncie rzeczy najpoczciwszymi w świecie chłopakami i dlatego, gdy pierwszy z nich wyszukał sobie dozgonną towarzyszkę życia w osobie nadobnej Helci, publiczność pokochawszy szczerze obydwóch braci, pomyślała: jaka szkoda, że rozłączeni przestaną już broić, kiedy te psoty tyle sprawiały nam uciechy! Otóż ojciec hulaszczej parki pan Zygmunt Przybylski, pragnąc dogodzić ogólnemu życzeniu, skreślił poślubne dzieje jednego ze swych bohaterów.

Taką jest geneza powstania komedyi p. t. „Państwo Wackowie". W tej nowej fazie życia ustatkowanego młodzieńca, spotykamy znane nam dawniej osobistości z dodaniem kilku nowych a po części epizodycznych postaci. Ożeniony Wacek stracił fantazyę, zmiękł, a porzuciwszy poprzednie narowy, stał się najpokorniejszym służką swojej ukochanej, czyli wyraźniej mówiąc pantoflem w całem znaczeniu tego wyrazu. Naiwna Helenka zaś przy owej przemianie, przyjęła pewien odcień despotycznej samodzielności i niehamowanego dziewiczą prostotą rezonu; stary tylko papa Klepacki pozostał zawsze dobrodusznym szlachcicem, narzekającym na synów a pobłażającym im zarazem we wszystkiem. I nie mogło być inaczej. Spojrzyjcie dokoła siebie: czyż nie tak się dzieje pomiędzy nami? Szaleniec, narwaniec, żyjący chwilą obecną, jeżeli tylko zostanie owładnięty miłością, traci natychmiast młodzieńczą butę; spuszczająca znowu ku ziemi oczęta panienka, znajduje po zamąż wyjściu nieznaną jej przedtem energię, podtatusiali jedynie ojcowie zostają tem czem byli przed laty. Autor dając te zarysy głównym postaciom swego dzieła, nie minął się ani na chwilę z życiową prawdą.

Państwo Wackowie jako uosobistnienie owej cichej pomyślności małżeńskiej, która rokuje wiekuistą zgodę, gdy mąż słucha żony a żona rządzi mężem, kochając się bardzo a całując jeszcze więcej, niewidzieliby zapewne ani jednej chmurki zaciemniającej jasny horyzont ich zobopólnego szczęścia, gdyby Wicek uciekłszy z domu ojca przed widmem narzuconego mu związku z brzydką panną, nie namówił brata do pojechania na jarmark łowicki. Podobne wystąpienie z karbów posłuszeństwa oburzyło dzierżycielkę domowej władzy, jedzie zatem wraz z teściem za małżonkiem i ozgrozo! zastaje tegoż pijanym. Na tem epizodzie kończy się akt drugi. Akt trzeci wysłania nam fochy i dąsy z jednej, a rozpacz z drugiej strony, zakończone pokorą Wacka i wspaniałomyślnem przebaczeniem Wackowej; czwarty nakoniec i ostatni wprowadza widza do ogrodu państwa Zabawnickich, kędy Wicek zachęcony przykładem braciszka, znajduje przyszłą swoją despotkę w osóbce ciągle uśmiechniętej panny Zofii. Da Bóg doczekać to i drugi hulaka ustatkuje się, wytresuje pod rygorem matrymonialnej klauzury, a dla nas sympatyzujących tyle razy z syamską parą, pozostanie tylko miłe wspomnienie ich młodocianego szału. Epilogiem kończącym ów szereg z życia wyjętych obrazków, są dozgonne śluby wszystkich o czułych sercach osobistości komedyi, tak że nawet i amatorka kabały draśnięta zębem czasu, panna Paulina, wynalazła sobie towarzysza dozgonnej pielgrzymki w osobie pana Zbiskiego, wygrywającego prześliczne krakowiaki na harmonii.

Z początku zdawaćby się mogło, iż przytoczona treść sztuki nie zdoła wypełnić czterech aktów, rzeczywiste jednak bogactwo szczegółów wiążących się w pełną swojskiej prostoty całość, wynagradza ubóstwo intrygi. Państwa Wacków trudno nazwać komedyą w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, zawsze jednak jest to szereg scen barwnych, serdecznych, który na długo może utrzymać się w repertuarze. Kilku sprawozdawców piszących recenzye pracy pana Przybylskiego, uważają za niżej stojącą od swej poprzedniczki, nie z powodu techniki scenicznej, określenia charakterów, ale dlatego jedynie, iż ona stanowi, że tak powiem, odgrzanie znanego i oklaskiwanego od dwóch lat przedmiotu. Powyższe zdanie podzielam w części ale nie bezwarunkowo. Wszakże Beaumarchér w trylogii swojej złożonej z Cyrulika Sewilskiego, Wesela Figara i Matki występnej, jedne i te same przedstawił osoby, a jednak owe trzy utwory pozostaną zawsze arcydziełem w swoim rodzaju.

Jeżeli komedya o jakiej piszemy traci na zastosowaniu ze swoją wyprzedzicielką, to całkiem inne okoliczności są tego przyczyną. Pomiędzy każdą ze wspomnionych sztuk Beaumarchégo upływa lat kilkanaście, charaktery więc działających osób ulegają stopniowo zmianie, jaką miniony czas wywiera zazwyczaj na ludzi. Inną np. jest Rozyna w każdej z trzech postaci: młodziutkiego dziewczęcia, nieszczęśliwej hrabiny i zbaczającej z drogi cnoty małżonki; tymczasem przebyty rok wśród upojenia miodowych miesięcy, nie przeobraża znowu do tego stopnia naiwnej Helci, ażebyśmy nie poznali w niej naszej dumnej znajomej. Wicek jeszcze mniej się odmienił, papa Klepacki kubek w kubek ten sam co pierwej, Wackowi choć zafukanemu przez żonę pozostało jeszcze trochę hulackich narowów, gdyż przeobrażenia o których wspomniałem na początku niniejszego sprawozdania, są prawie nieznaczne i tym sposobem dawne reminiscencye wpływają bezwiednie i mimowolnie na usposobienie widzów. Pan Przybylski nie przeciąga do nieskończoności wyzyskanych poprzednio sytuacyi, nie rozwodzi się nad opowiadaniem wyjaśnionych już szczegółów, owszem przeciwnie, wytworzył zupełnie nową intrygę, odmienne położenia, nietknięte dotąd epziody, a jednak z tej atmosfery zaściankowo-szlacheckiej, ciepłej, pełnej życia i barw sympatycznych, wieje ten sam prąd, którego dobroczynne tchnienie tyle razy nas upajało. Nie nuży ono wprawdzie, nie rozstraja, lecz wyradza pragnienie jakiejkolwiekbądź zmiany, choćby nawet na gorsze. Taką jest natura ludzka, do niej więc autorowie lubiący wysnuwać z jednego tematu nieskończoną ilość myśli, zastosować się powinni.

Państwo Wackowie z całem swem otoczeniem, weszli na scenę teatru Rozmaitości wcale pokaźnie. Główne role odegranemi zostały nader starannie: pan Ostrowski w postaci starego Klepackiego i panna Czakówna jako stanowcza Helenka, zbierali zasłużone oklaski; co się zaś tyczy panów Wolskiego i Szymanowskiego, to każdy kto ich widział przedtem, zgadnie łatwo ile potrafili wlać werwy i życia w swoje kreacye. Epizodycznem figurom wchodzących do sztuki osób z małym wyjątkiem nic zgoła zarzucić nie można; obie matki w osobach pań Micińskiej i Borkowskiej, były naturalnemi przedstawicielkami obywatelek ziemskich. Paulina (pani Ostrowska) cokolwiek za wiele szarżowała, panna Mirecka wybornie z właściwem zacięciem mazurskiem odtworzyła wiejską dziewuchę. Oddeklamowanie za to wiersza w początku czwartego aktu, przypominało nam popisy uczenic klasy drugiej, jakie ongi miewały miejsce na zakończenie roku szkolnego w pensyonatach żeńskich, a powierzenie roli starej, brzydkiej i dziobatej Krysi pannie Bronisławie Chraszczewskiej, przygnębiające na nas wywarło wrażenie. Wprawdzie owa zdolna i sympatyczna artystka, gotową jest zawsze przyjąć niesmaczny nawet kąsek podany jej przez reżyseryę i wywiązać się z włożonego na siebie zadania, ale czyż poczucie estetyczne nie cierpi widząc tę nadobną twarzyczkę, zeszpeconą niedelikatną dłonią charakteryzatora scenicznego?

Ludwik Niemojowski

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)



W Marca uważano słowiki za małe stworzonka, dobre do chwytania w sieci i przeznaczone następnie na zjedzenie lub na sprzedaż. Lecz nikt by nie śmiał zastawiać na nie sidła w pobliżu kościoła, wszyscy wiedzieli, że ksiądz lubił ich śpiew, który mieszał się tak uroczo ze śpiewem kościelnym.

Zasłuchany w śpiew słowików, don Gesualdo zadrżał nagle zobaczywszy tuż obok cień jakiś i słysząc głos, który przemówił doń: Dzień dobry, don Gesualdo!

Przed nim stała młoda, zaledwie może ośmnastoletnia kobieta niepospolitej urody. Twarz pełną świeżości i wdzięku krasił wyraz czułości, ożywiający również wielkie błyszczące oczy, namiętne i łagodne zarazem, a białe ząbki jaśniały wśród warg purpurowych. Była to Generosa Fè, żona Tassa Tassila, młynarza.

W Marca, wiele bardzo młodych nawet kobiet mają płeć ciemną jak morwa, dlatego, że pracują na słońcu; zawsze potargane i zaniedbane, cały rok dźwigające przy piersi dzieci, wydają się zestarzałemi przedwcześnie.

Generosa, kształtna jak bogini, nie podobną była do nich wcale; pracowała bardzo mało, dbała o swoją piękność i nie miała dzieci choć wyszła za mąż w piętnastym roku życia.

Znała ona oddawna Gesualda; oboje byli rodem z Bocca d'Arno i to tworzyło między nimi jakiś węzeł przyjacielski. Lubili przypominać sobie te czasy, gdy razem biegali po wybrzeżu morskiem, lub też wygrzewali się śpiąc w ciepłym piasku. Jakże przerażały ich wielbłądy królewskie, których potworne cienie odbijały się na sitowiach.

Gesualdo przpominał ją sobie, gdy śmiejąca i wesoła ścigała go wzrokiem, skoro on duży już chłopiec dążył do kolegium, gdzie przygotowywał się do stanu kapłańskiego.

— Śliczny będzie z ciebie ksiądz — wołała — i wszystkie będziemy się spowiadać przed tobą!

I wybuchała śmiechem a śliczna jej twarzyczka jaśniała wesołością jak fale morskie lśniące od promieni słonecznych.

Pamiętał ją dobrze i ucieszył się też szczerze skoro Tasso Tassilo młynarz, poszukał żony aż o sześćdziesiąt mil od swej rodzinnej wioski i przywiózł ją do Bocca d'Arno, aby była wszechwładną panią we młynie, który obracała mała rzeczka, jedyna bieżąca woda, jaka się znajdowała w tej okolicy.

Tasso Tassilo, pojechawszy raz za interesami, ujrzał przypadkiem tę śliczną dziewczynę, zaręczył się z nią i wkrótce pojął za żonę.

Nie wzdragano się z nią, gdyż była bardzo biedną, rodzice jej wozili piasek; dziewczynie sprzykrzyło się biegać boso po wybrzeżu, przytem apetyt miała doskonały, gdyż zjadała wszystkie napotkane owoce kaktusów; wiedziała, że jest piękną i że nikt jej nie podziwia oprócz ptaków morskich lub też rybaków tak biednych jak ona.

Tasso Tassilo z powierzchowności brzydkim był bardzo; chudy, podstarzały, zajęty jedynie mąką i worami pieniędzy, które zbierał chciwie, nie mógł się podobać i żona nienawidziła go poprostu.

On zaś uwielbiał ją i pozwalał jej wydawać ile tylko chciała na stroje i fraszki.

Młyn zresztą był ładną i miłą siedzibą; ściany domku wybielone, płaczące wierzby, które rosły ponad rzeczką i nieustający ruch ludzi i mułów przed domem, nadawały mu pozór wesołości i życia.

Lecz miało to miejsce tylko w porze deszczów, gdy nastała susza, pustka i cisza zalegały dokoła. Woda opadała tak, że zaledwie dzikie kaczki i cyranki mogły się w niej pluskać i dotąd używały uciechy, dopóki młynarz nie zestraszył ich wystrzałem z fuzyi.

— Dobry wieczór, don Gesualdo! — powtórzyła młoda kobieta i stała przed nim oblana promieniami zachodzącego słońca.

Gesualdo podniósł się z uśmiechem, zawsze rad ją witał, ona przynosiła z sobą wspomnienia dzie-

cińststwa, stron rodzinnych i szczęśliwych dni przed wstąpieniem do seminaryum.

Nie żałował on bynajmniej tego, że został księdzem, lecz pamiętał dawniejsze lata i dziwił się, że i on także był takim swawolnym chłopcem, który biegł z rozkoszą wykąpać się w morzu i napawać jego nieskończonością.

— Masz jakieś zmartwienie Generoso? — spytał widząc, że piękna twarz kobiety ma dziś wyraz posępny i chmurny.

I w istocie życie jej nie płynęło rozkosznie; mąż był strasznie zazdrosny i nie bez powodu, do młyna przyjeżdżało bowiem mnóstwo młodych ludzi, którym Tasso Tassilo nie mógł przecie zabronić wstępu, chyba żeby nie przyjmował zboża do mielenia.

— Zawsze jedna i ta sama historya, don Gesualdo — odpowiedziała, opierając się o drzwi kościelne. — Znacie Tassa i wiecie jakie nędzne życie z nim wiodę.

— Bo też, moja córko, nie zawsze jesteś roztropną — rzekł ze słabym uśmiechem don Gesualdo.

— Czyż w moim wieku można być zawsze roztropną? — odparła z żywością młoda kobieta. — Tasso jest ordynaryjny i waryat zarazem. Którego kolwiek dnia doprowadzi mnie do ostateczności; powiedziałam mu to w oczy.

— Tym sposobem nie uczynisz go lepszym. Źle, że nie odpłacasz mu uczuciem: on cię kocha, a że nie jest już młody i wie, żeś dlań obojętną, drażni go to niewypowiedzianie.

— Jak on może przypuszczać, żebym się nim zająć potrafiła? — zaczęła z uniesieniem. — Ja go nienawidziłam zawsze. On jest w wieku mojego ojca i wyobraża sobie, że może mnie więzić jak mniszkę; gdybym się stosowała do jego woli nie pozwoliłby mi wyjść za próg swego domu. Czy to po to wychodzi się zamąż?

— Wychodzi się zamąż po to, aby godnie spełniać przyjęte na siebie obowiązki — rzekł Gesualdo nieco nieśmiałym tonem, gdyż czuł jak słabemi są jego rady w obec zapału i woli kobiety, która wie, że jest piękną, że inni kochają się w niej szalenie a ją namiętność i próżność pociąga i wabi ku sobie.

— Przed chwilą wyprawił mi okropną scenę — rzekła Generosa, nie odpowiadając na ostatnie słowa księdza. — Byłam tak rozgniewana, że o mało nie pchnęłam go nożem. Pokłóciliśmy się o Falca. Nie zaszło między nami nic nowego, ale on w to nie wierzył. Boję się, aby kiedy nie napadł na Falca, grozi mi, że tak uczyni i to już nie po raz pierwszy...

— O! to już nie żarty! — rzekł Gesualdo blednąc. — Moja córko jesteś winniejszą od Tassila. Mąż jest w swojem prawie. Dlaczego nie odpędzisz precz tego młokosa? Onby cię posłuchał...

— Posłuchałby mnie w każdej innej rzeczy, lecz nie w tym razie — odparła z lekkim uśmiechem, oznaczającym iż wie jak jest kochaną. — Onby nie odjechał! A zresztą poćóż miałby odjeżdżać? Tu ma przecież zajęcie, obowiązki! Czy dlatego miałby się oddalić, że Tasso jest szalenie zazdrosny?

— Czy w istocie mąż twój jest tak szalenie zazdrosny? — zapytał Gesualdo, podnosząc nagle wzrok do góry i spoglądając prosto w twarz kobiety.

Silny rumieniec wystąpił na twarz Generosy.

— Ależ rzeczy nie zaszły tak daleko jak myślicie — zaczęła po chwili milczenia. — Ja nie chcę aby mnie posądzano niesłusznie. Tasso wywoła w końcu to czego się obawia. Dlaczego chciał się ze mną żenić? wiedział dobrze, że ja go nie kocham. Byliśmy tak biedni w Bocca d'Arno a jednak byliśmy weseli i szczęśliwi, dlaczego mnie zabrał ztamtąd?

Po rozpalonych jej policzkach popłynęły gorące łzy. Po raz już może setny zwierzała się ze swemi zmartwieniami przed don Gesualdem; czyniła to przy kratkach konfesyonału lub tak jak dzisiaj, nie było to zatem żadną dla niego nowiną. Przed nim tylko jednym mogła wypowiedzieć wszystko co myślała, rodzice jej mieszkali daleko nad morzem a w Marca nie miała żadnej przyjaciołki, tamtejsze kobiety nie lubiły jej raz dlatego, że była z innych stron a powtóre, że zazdrościły jej piękności i próżniaczego życia.

Gesualdo był jej ziomkiem, przyjacielem, krewnym niemal, przed nim więc wylewała swe żale.

— Ksiądz to prawie kobieta — myślała — lecz jest pewniejszym od niej powiernikiem.

— Jesteś niewdzięczną, moja córko — rzekł ksiądz siląc się na surowość. — Cieszyłaś się, że wychodzisz zamąż za człowieka tak bogatego jak Tassilo. Rodzice twoi także byli zadowoleni. Być może, że nie jest on człowiekiem jakiego sobie życzyłaś, ale zawsze winnaś mu wiele, bardzo wiele nawet. W tej chwili przemawiam do ciebie nie jak ksiądz, ale jak przyjaciel. Zaklinam cię, odpędź twego kochanka. Jeśli tego nie uczynisz, stanie się nieszczęście, nie obejdzie się może bez krwi rozlewu i ty staniesz się przyczyną wszystkiego złego.

Ona obojętnie wstrząsnęła głową. Była w tej chwili pod wpływem uporu i rozpaczy, posprzeczała się gwałtownie z mężem a kochała Falca Melegari rządzcę sąsiedniej willi, której właściciel nie mieszkał w swej posiadłości.

Falco był pięknym młodzieńcem w którego żyłach płynęła krew lombardzka. Wysoki i pięknie zbudowany, zawsze wesoły i swobodny, stanowił zupełny kontrast z Tassem Tassilo, który był zgryźliwego usposobienia, wiecznie zachmurzony i tak znacznie starszy od żony.

Młyn znajdował się niedaleko willi i Tassilo mógłby prędzej powstrzymać siroko lub wiatr wiejący od morza, niż przeszkodzić spotkaniom, które blizkie sąsiedztwo czyniło tak łatwemi.

Rządzca miał zawsze tysiące do młyna interesów; a chociażby młynarz wzbronił mu wstępu do swego domu, nie mógł mu zabronić łowienia ryb w rzece, dawania znaków pięknej młynarce z wysokości tarasu willi, lub spotykania jej w lesie i przy winnicach.

Tylko odjazd mógł przerwać wątek tej intrygi, lecz ani Falco Melegari nie porzuciłby miejsca do którego wiązały go interesa i namiętności, ani też Tasso nie przeniósłby się gdzieindziej, uwożąc ze sobą żonę. Tu bowiem urodził się i wychował, tu mieszkali jego rodzice, dziadowie i pradziadowie, od jakich pięciu pokoleń może. Ludzie tacy nie porzucą za nic swej ojcowizny, zrastają się oni z miejscem jak drzewo i dopiero śmierć wyrwać ich zdoła.

Wsparta o filar przysionka, igrając niedbale z gałązką granatu, którego pączki nie były tak świeże jak jej purpurowe usta, Generosa uskarżała się ciągle a Gesualdo udzielał jej rad dobrych. Lecz słowa jego nie wywarły na niej żadnego wrażenia, mógł był tak samo przemawiać do jaskółek kryjących się pod daszkiem kościoła.

Nareszcie kobieta odezwała się oschłym tonem:

— Wam wystarcza spełnienie obowiązku, boście święci, mój ojcze, ale ja nie jestem święta i nie mam ochoty marnować najpiękniejszych lat mojego życia dla ślicznych oczu człowieka złośliwego, który mnie wiecznie łaje!

— Ależ jesteś w błędzie, moja córko...—i czerwieniąc się sam nie wiedząc dlaczego, dodał z zakłopotaniem — nie znam ja się wprawdzie na waszych ziemskich namiętnościach ale rozumiem co jest obowiązek i żdaje mi się, że i ty pojmujesz jaką drogą iść winnaś.

Gesualdo znał niewiele naturę ludzką a tem mniej usposobienie kobiet, lecz rozumiał choć niejasno, że dla Generosy nadeszła taka w życiu chwila, w której wszystkie namiętności i pragnienia lat młodzieńczych buntują się przeciwko okrutnemu przeznaczeniu.

Czuł, że droga obowiązku, którą jej wskazywał, musiała jej się wydać wstrętną i nieznośną, gdy tymczasem niebezpieczeństwa zakazanej miłości czyniły ją jeszcze bardziej ponętną i słodką.

Był to charakter gwałtowny, śmiały i nieugięty; niebezpieczeństwo wcale jej nie straszyło. Po ślubie była obojętną dla męża, lecz z czasem obojętność ta zmieniła się w nienawiść.

— Człowiek nie jest z drzewa ani też z kamienia, aby całe życie mógł się obyć bez miłości!—zawołała nakoniec z gniewem i pogardą.

Gwałtownym ruchem cisnęła gałązkę przez płot i spojrzawszy na Gesualda z litością i wzgardą zarazem, oddaliła się szybko.

— Czy on się zna na takich rzeczach — myślała w duchu — to święty nie człowiek z krwi i kości jak my zwykli śmiertelnicy.

Gesualdo ścigał ją wzrokiem dopóki tylko postać jej widoczną była między cyprysami. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oblewały łagodnem światłem wysmukłą i kształtną postać młodej kobiety.

Chód jej swobodny i pełen wdzięku jak u wszystkich Włoszek, które do piętnastego roku życia nie noszą obuwia, ciemne włosy połyskujące ostatniemi blaski zachodu, cała postać kształtna, silna i cudownie rozwinięta, czyniły z niej niepospolite w tej wiosce zjawisko.

Gesualdo nie odrywał od niej oczu a jakieś niepojęte uczucie, sprawiające mu rozkosz i przykrość zarazem, przeniknęło całą jego istotę. W tejże chwili zdało mu się, że sumienie jego obciążył grzech straszny; odwrócił oczy i wszedł do kościoła na modlitwę.

Falco Melegari wracając wieczorem do domu zdziwił się niezmiernie, gdy służący odbierając od niego konia, oznajmił mu zarazem, że ksiądz czeka na niego.

Willa była niegdyś wspaniałą siedzibą, lecz dziś zaniedbaną ogromnie. Właściciel jej młody patrycyusz, signor Balda, wydawał za granicą skromne swoje dochody, nigdy prawie nie przyjeżdżał do willi i przyjmował bez kontroli rachunki jakie mu przedstawiano.

Falco Melegari zajmował dół domu, którego obszerne komnaty ze ścianami malowanemi *al fresco*, sklepionemi sufitami, z gzymsami rzeźbionemi artystycznie, wielkiemi honorowemi łóżkami, na których kapy w proch się rozsypywały i jedwabnemi obiciami, pociętemi zupełnie przez mole, dziwne na przychodniu sprawiały wrażenie.

Proste, obozowe łóżko, stół i kilka krzeseł kłóciły się ze wspaniałością ubiegłych czasów, ale rządzca nie zwracał na to uwagi. Lubił on te resztki okazałości, chociaż myśl jego zajęta była tylko piękną żoną starego Tassila.

Z tarasu willi mógł widzieć młyn nad rzeczką i nieraz przepędzał krótkie letnie noce na ściganiu wzrokiem światełka drżącego w oknie Generosy.

Miał lat dwadzieścia pięć, był zakochany szalenie a miłość jego wzrastała z dniem każdym jak zwykle miłość występna.

Wysokiego wzrostu i pięknie zbudowany Falco, przystojnym był mężczyzną; bujne, ciemne włosy i szafirowe oczy pono nie jednej już kobiecie zawróciły głowę. Usposobienie jego nie było ani gorsze ani lepsze, jak wielu młodych ludzi w jego wieku.

Jako rządzca był średnio uczciwy, jako kochanek najzupełniej szczery.

Śpiesznym krokiem wszedł do wielkiej sali gdzie czekał na niego gość tak niezwykły. Mniemał, że ksiądz prosić go będzie o kwiaty do przystrojenia kościoła na jutrzejsze święto św. Piotra i Pawła; ogrody willi jakkolwiek zaniedbane, obfitowały jeszcze w kwiaty niewymagające wielkiej pieczołowitości, rosły tu bujnie lilie, lawenda i róże a z dawniejszych czasów pozostały jeszcze magnolie i laury.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY

NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

Szanowny profesor Łuczkiewicz w swoim odczycie o stosunku lekarzy do społeczeństwa, aczkolwiek w przedmiocie dość suchym, umiał jednak szczerze zainteresować publiczność.

We wstępie zaraz powiedział, iż minęły owe czasy, w których umiejętność lekarska kryła się w tajemniczych osłonach, niechętnie odsłaniając zdobycze swojej wiedzy. Z kolei przeszedł Prelegent do metod leczenia zmienianych ciągle z postępem czasu. Po gusłach w starożytności, wystąpił szarlatanizm a i dziś owczarze i znachorki jeszcze w lecznictwie niemałą odgrywają rolę.

Jednocześnie jednak rozwijała się i medycyna radykalna, która przeszła następnie w umiejętność i stała się wreszcie tem czem jest obecnie, to jest niezajmującą się przywracaniem piękności ciału chorobą zmożonemu, o co głównie starała się sztuka hipokratesowa, ale śledząca tajemnicę życia i organizmu ludzkiego, aby uzdrowić gdy działa niedobrze.

Według Prelegenta organizm leczy się sam a medyk tylko mu lekarstwem dopomaga, gdy w homeopatyi całą siłę leczenia stanowi lekarstwo.

Pod tym względem zdaje nam się, iż tu zachodzi małe nieporozumienie, że rzecz ma się zupełnie przeciwnie, że w alopatyi całą moc leczenia stanowi lekarstwo samodziałające a w homeopatyi tylko siły natury pobudzone przez lekarstwo w kierunku usunięcia choroby. Sama ilość medykamentu w lekarstwie doprowadzona do minimum trudnego do pojęcia, uwagę naszą zdaje się popierać.

Hygenie słusznie Prelegent przyznał wielkie znaczenie, jako działającą na powiększenie zasobu zdrowia wśród społeczności. Zwrócił więc słusznie uwagę na wady w urządzeniu naszych mieszkań, na brak dobrej wody, powietrza a nawet w pewnej części materyałów pożywnych jak chleba i t. d.

Następnie rozbierał Prelegent przebieg historycznych zmian stosunku lekarza do społeczności: wymagania od niego tego czego dać nie może, zbyteczne czasami stosowanie się lekarzy do życzeń chorego, dotknął osiedlania się ich skorszego po miastach jak na wsi i lecznic, które ostro potępił.

W końcu przystąpił do kwestyi honoraryów, zwykle wtykanych tajemniczo do ręki lekarza, pragnąc zastąpić to jawnie wypłacaną należytością za posługę.

Odczyt cały był wielce interesującym, za co publiczność wywdzięczając się obdarzyła Szanownego Prelegenta tak hucznemi oklaskami, jakich dawno słyszéć się nie dało.

Czwarta prelekcya p. t. Prawo i nauka prawa, wypowiedział profesor uniwersytetu jagielońskiego doktor prawa Maurycy Fierych. Przedmiot to wybrany niebardzo się nadawał do wykładu popularnego, czem wszystkie przemówienia publiczne zalecać się winny, mimo tego jasności w rozwijaniu szczegółów nie brakowało.

W samym zaraz początku Prelegent wykazał różnice między prawem przynależnem komuś a prawem stanowionem, zwyczajowem lub pisanem, co niegdyś Rzymianie i Francuzi nazywają *jus* i *lex* — *droit* i *lois*. Następnie wskazał blizkoznaczność obu tych pojęć i różnice jakie między niemi zachodzą. Na tem tle rozwijając swój wykład, co oprócz ustnego było zwyczajowem prawem w Rzymie, Niemczech, Anglii i u nas pod nazwą prawa magdeburskiego, doszedł wreszcie do wniosku, że najznakomitszemi pomnikami działalności rozumu ludzkiego jest: kodeks francuzki, austryacki i Landrecht pruski. Wykład swój profesor Fierych zakończył słowami Kanta, który niegdyś wyrzekł: Gdzie nie ma sprawiedliwości tam żyć niewarto.

Zgromadzona publiczność hucznym oklaskiem podziękowała mówcy.

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Powzięty zamiar jeszcze w roku zeszłym przez hr. G. Platera, urządzenia wystawy muzycznej, przyszedł wreszcie do skutku i w zeszłym tygodniu, dzięki ofiarowaniu na pomieszczenie wystawy lokalu przez hr. Raczyńską i pomocy pana F. Cieślewskiego, znanego tenora naszej opery, wystawa owa otwartą została i obejmuje następujące działy: nuty i książki starożytne, rękopisy, autografy, popiersia, portrety, sztychy, obrazy, litografie i fotografie muzyków i artystów, instrumenta dęte oraz rznięte, szpinety, fortepiany, pianina, szafy, zegary i szkatułki samogrające, całe komplety orkiestrowe, wreszcie pamiątki, ofiarowane artystom od publiczności i od kolegów. Ułożeniem katalogu wystawy zajmuje się redakcya *Echa Muzycznego*, a w przewodnictwie tem po wystawie, oprócz spisu okazów, pomieszczone być mają i rozprawki, dotyczące historyi muzyki polskiej i t. p. W pierwszym salonie umieszczono na ścianach obfity zbiór portretów naszych kompozytorów muzycznych i artystów, których także jest kilka popiersi. Do największych rozmiarami należy portret Jana Królikowskiego w „Doktorze Robinie".

Inny zbiór stanowią fotografie i litografie muzyków i artystów; znajdują się tu podobizny prawie wszystkich współczesnych, co się w tej dziedzinie odznaczyli talentem. W pierwszym też salonie całą ścianę zajął komplet nowoczesnych instrumentów orkiestrowych, wystawionych przez panów W. Kruzińskiego i A. Wernica. Z mnóstwa ciekawych przedmiotów, notujemy arcypierwotnego kształtu i wyrobu harfę, używaną przez afrykańskich Beczuanów, którą z podróży przywiózł pan Rogoziński; skrzypce Sztejnera z 1675 roku, dostarczone przez pana Józefa Sikorskiego; wielce interesującą i szacowną kolekcyę starożytnych instrumentów muzycznych, sprowadzonych z Jasnej Góry, a w ich liczbie krywosze, cynki, szałamaje, skrzypce z waltornią, trąby i oryginalną viola di Gamba; dalej cenny teorban inkrustowany o dwudziestu pięciu strunach, własność pana Tadeusza Dowgirda; piękny kontrabas włoski w 1812 roku, pochodzący z orkiestry generała wojsk polskich Paca, wiolonczelę Stradivariusa z 1650 roku, skrzypce hiszpańskie Sardiniego, niemieckie Raucha; wielki zbiór skrzypiec z kolekcyi Ignacego hr. Ledóchowskiego; altówkę włoską; kobzę; starożytną ligawkę i wiele, wiele innych. Między fortepianami starodawnemi wyróżniają się: prastary klawikord z XVI wieku, dostarczony przez pana Kazimierza Gebethnera, aż trzy fortepiany po Józefie księciu Poniatowskim, oryginalny szpinet z fabryki krakowskiej Fryderyka Schweinfurta, maleńki fortepianik starego wyrobu z klawiaturą do transponowania, fortepian Szopena i inne. Bardzo ładna jest ze zbiorów willanowskich deka z fortepianu Maryi Kazimiery, ozdobiona pięknem malowidłem.

Fabryka p. Szymańskiego wystawiła ogromne organy, a fabryka moskiewska Mosera i Blessinga niezwykłej wielkości „orkiestryon". Między upominkami od publiczności, zwracają uwagę dary dla pana Leopolda Lewandowskiego, kompozytora tylu mazurów i polek. Pośród nut jest dużo unikatów, jak oryginalne portytury oper, pieśni; cenny nader zbiór tego rodzaju dostarczony został z biblioteki Zamoyskich; są tu prawdziwe kruki białe, np. oryginalny tekst psalmów Gomółki.

Wystawa już przy urządzaniu jej, obudziła wielkie zajęcie wśród tutejszych muzyków i miłośników starodawnych zabytków; wywoła zapewne zainteresowanie się i między szerszemi kołami publiczności, jako w swoim rodzaju dopiero u nas pierwsza, a obfita w ciekawe okazy, których ogółem jest około tysiąca.

Przytem uproszeni artyści wykonywują na wystawie różne utwory muzyczne na przeróżnych znajdujących się tu instrumentach. Wystawa trwać ma cały miesiąc.

Bal w Petersburgu urządzono na korzyść istniejącego tamże rzymsko - katolickiego Towarzystwa Dobroczynności. Kuryer Warszawski podaje o tym balu następujące szczegóły: „Sobotni bal polski należał do najświetniejszych w obecnym sezonie karnawałowym. Bal odbył się jak zwykle, w sali klubu szlacheckiego. Biletów sprzedano około 2,000, licząc w tem i bilety wydawane dla rodzin. Pomiędzy innymi obecni byli: hr. August Potocki i ambasador francuzki Laboulaye. Tańcom przygrywała orkiestra pułku preobrażeńskiego, uzupełniona kompletem instrumentów rzniętych.

Mazur odznaczał się ogniem i wdziękiem. Tańczono go długo, przy muzyce specyalnie na ten cel skomponowanej („Mazur-krakowiak"). W bezpłatnym bufecie wspaniale urządzonym, zasiadły panie: mecenasowa Kierbedziowa, Żukowowa z domu ks. Lubomirska, Małkowska, Spasowiczowa i inne. Tualety dam odznaczały się rozmaitością i były w ogóle bardzo piękne." Graždanin, opisując wrażenia z balu polskiego, który się odbył w sobotę, powiada: „Na balu zrozumieliśmy, iż Polak i Ruski są to dwaj rodzeni bracia."

Malowania farbą olejną na sukniach damskich wchodzą coraz bardziej w modę, chociaż ozdoby tego rodzaju są dość drogie.

Jeden z malarzy tutejszych otrzymał w tych dniach suknię, parasolik i wachlarz z atłasu koloru popielatego, na których ma wymalować olejno kwiaty i desenie w stylu maurytańskim.

Obstalunek wynosi 200 rs.

Z powodu rozwijającego się handlu wywozowego wędlin krajowych na zachód Europy, każdą wiadomość dotyczącą tego handlu, skrzętnie notujemy.

Obecnie donoszą nam, iż od r. 1882 we wsi Janiewice, w gub. podolskiej, urządzoną została na wielką skalę gęsiarnia, w której utuczone gęsi w formie wędzonych półgęsków i pasztetów z wątróbek idą stale do Londynu.

Administrator Janiewic, pan Szepalski, przedsiębierstwo to urządził na własny rachunek i jak nas zapewniono, z każdym rokiem osiąga coraz korzystniejsze rezultaty.

Pośrednikiem pana S. jest niejaki pan Ignacy Perschel, stale w Londynie zamieszkały, który dostarczone półgęski i pasztety sprzedaje detalicznie tamtejszym restauratorom i właścicielom sklepów z delikatesami.

Podolskie półgęski i pasztety uchodzą w Londynie za drób' niemiecki, a mianowicie z prowincyi westfalskiej.

Takie podszywanie się pod wyrób zagraniczny nie jest właściwe, widocznie jednak potrzebne dla synów Albjonu, którzy pod względem podobnych uprzedzeń i z nami mają coś wspólnego.

O rozmiarze produkcyi i zyskach, osiąganych przez pana S., możemy mieć pojęcie z takiej notatki.

W r. z. koszt utrzymania gęsiarni i wyprodukowania półgęsków oraz wątróbek uczynił 17,540 rs. a p. S. wycofał kapitał 24,000 rs., czyli że osiągnął zysku za pracę i nakład z górą 6,000 rs.

Z powyższego okazuje się, iż przedsiębiorstwo poważnie się rozwija i winnoby zwrócić uwagę innych hodowców gęsi, jak nas bowiem zapewniano zapotrzebowania są tak znaczne, iż p. S. obstalunkom wydołać nie może.

Z Krakowa piszą do nas dnia 28 go Lutego: Wczoraj w teatrze naszym odbył się wieczór literacko-artystyczny dla uczczenia pamięci Zygmunta Krasińskiego. Urządziła go arystokracya miejscowa i część młodzieży uniwersyteckiej, celem zebrania funduszu na budowę w katedrze na Wawelu pomnika dla Krasińskiego, którego model ofiarował się bezpłatnie wykonać pan Rygier. Pomimo całej czci dla autora Niebozkiej Komedyi, w obec niezałatwienia sprawy pomnika Mickiewicza, nie wszystkie warstwy społeczne wzięły udział w uroczystości.

Jan Władysław Zamojski, właściciel Sokołowa w Galicyi, ożeniony w roku 1881 z córką słynnego generała Pellissiera, księcia Malakoffa, jest teraz w Wiedniu przedmiotem ogólnego zajęcia.

Na liberalny niby dwór wiedeński hr. Zamojski chciał wprowadzić żonę na bal dworski Burgu; ministrze ceremonii dopomnieli się od niej dowodów z czternastu czy czterdziestu pokoleń szlachectwa; córka sławnego wojownika, wyszłego z ludu, złożyć takich dowodów nie mogła, więc zamknięto jej drzwi przed nosem.

Taki był publiczny początek niezgody domowej, za którym, jak twierdzą dobrze znani łgarze rozwodowi, miały pójść i inne powody waśni. Sprawa rozwodowa prowadzona była najprzód w Paryżu, a następnie przeszła do Rzymu przed kongregacyę koncylium. Ponieważ do ważności rozwodu potrzeba, iżby jedna ze stron temu się opierała, przeto Jan Władysław hr. Zamojski domagał się utrzymania małżeństwa.

Powoływano na świadków najgłośniejsze imiona b. prezydenta Rzeczypospolitej marszałka Mac-Mahona, marszałka Canroberta, hr. Montaubana i wielu innych z arystokracyi francuzkiej i polskiej. W końcu końców, kongregacya koncylium unieważniła małżeństwo, lecz hr. Zamojski, który na rozwód się nie zgadzał, a w ostatnich czasach przebywał w Rzymie, nagle zniknął gdzieś bez śladu. O zniknięciu tem krążą najrozmaitsze pogłoski. Według jednych hr. Zamojski miał udać się do klasztoru, według drugich odebrał sobie życie, według innych musiał być zamordowany. Średniowieczne to wspomnienie w roku Pańskim 1888, budzić musi najboleśniejsze wrażenie.

Choroba cesarzewicza niemieckiego. Smutne wiadomości z San-Remo oraz śmierć wnuka, niesłychanie pognębiły cesarza Wilhelma. Skoro tylko kończy się przymus reprezentacyi, sędziwy monarcha oddaje się wybuchom gwałtownej rozpaczy. W tych dniach lekarz nadworny doktor Lauer zawezwany został nocą do łoża cesarza i zastał go, siedzącego na łóżku i płaczącego.

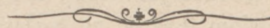
Monarcha żalił się przed lekarzem, iż los syna spać mu nie daje i oświadczył, iż pragnie coprędzej jechać do syna. Lekarzowi udało się chwilowo powstrzymać monarchę od tego zamiaru. Ostatnie depesze wszakże donoszą znów o projekcie wyjazdu cesarza i cesarzowej do San-Remo. Wiadomość o śmierci wnuka swego, księcia badeńskiego, Ludwika, który był jego ulubieńcem, wysłuchał monarcha stojący, a przyniósł ją hr. Perponcher. Cesarz odparł tylko: „Dziękuję", poczem usiadł i przez długi czas nie przemówił ani słowa.

Do królowej włoskiej, Małgorzaty, która niejednokrotnie objawiała swą sympatyę dla Polaków, wysłany został ze Lwowa nader ozdobny adres od Polek. Księżna Falconieri-Hołyńska wręczy adres ten królowej.

Wystawa watykańska zawsze jeszcze rośnie. Codzień przychodzą skrzynie z darami dla Ojca św. Ze sprzętów kościelnych naliczono dotąd: 800 pierścieni, 9,000 kielichów, 30,000 stuł, 100,000 pektoralów, 50,000 ornatów i 40,000 komży. Niektóre przedmioty mają wartość niezmierną. Tak np. stuła dam z Bogoty w Kolumbii zrobiona jest z brokatu srebrnego i zdobi ją 14,800 pereł, 800 szmaragdów i 340 dyamentów.

Miasto hiszpańskie Sewilla przysłało Papieżowi z okazyi jego jubileuszu oryginalny obraz Murilla. Z Francyi otrzymał Ojciec św. dotąd przeszło 50,000 butelek szampana.

W Rzymie gdy w ostatnich dniach poczęły krążyć coraz bardziej niepokojące wieści o stanie zdrowia niemieckiego następcy tronu, jeden z kardynałów zapytał Papieża, czy nie zechciałby odmówić specyalnej modlitwy za wyzdrowienie tego, o którego życie drży naród cały. Papież spojrzał poważnie na mówiącego i odparł: „Od wielu miesięcy już ani razu nie wstałem z łoża, ani razu nie udałem się na spoczynek, żeby nie przesłać do Najwyższego prośby za syna mego dostojnego przyjaciela, cesarza Wilhelma."



W cyrku obecnie popisuje się jakiś wielki siłacz amerykanin Karol Abs, który kilkuset funtowemi ciężarami bawi się jak piłkami z wielkim podziwem widzów. Jeden jednak z nich ogólnego zachwytu nie podzielał a spytany o powód odrzekł jak najspokojniej:

— Ciężary podnosić to niewielka sztuka, niech pan Abs podniesie kursa pieniężne, to istotnie wart będzie podziwu.

* * *

Zaciekły komunista Lisbonne był na balu u prezydenta rzeczypospolitej w Paryżu. Oburzyło to wszystkich jego wyznawców, zwłaszcza, że już samo posiadanie fraka obudza wstręt nieprzezwyciężony do tych co strój ten przywdziewają. Na zebraniu też jakiemś publicznem, przyjęło go chłodno, a nawet zaczęło posądzać o łączennie się do monarchistów.

— Nie, obywatele! — zawołał Lisbonne — mylicie się! Byłem na balu u Prezydenta, aby poznać jakie tam panuje usposobienie dla ludu i zapewniam was, że jest dobre. Byłem zaś dlatego ja nie ktoś inny, że mam frak bez którego na pokoje nie zostałbym wpuszczony...

— A zkąd go masz? — zapytał ktoś z tłumu.

— Zkąd go mam?

— A tak, bo może i pierwej z arystokracyą przestawałeś.

— Cicho, oszczerco!

— Powiedz więc zkąd go masz?

— I owszem, zaraz to objaśnię. Frak ten nosiłem wówczas, kiedy grywałem w sztuce: Trzydzieści lat życia szulera, kiedy byłem aktorem i jako dyrektor, kierowałem losami teatru Bouffes du Nord. Niedawno odzyskałem frak ten, dzięki burżuazyi jeszcze dobrze przechowany; na kołnierzu było wprawdzie plam niemało, wywabiłem je jednak za pomocą benzyny. Dlatego też goście obywatela Carnota chodzili ciągle w ślad za mną: jeden z nich, przechodząc koło mnie rzekł nawet: „Pomysł iście rewolucyjny — naftą się perfumować."

Obywatele, dawni towarzysze generała Lisbonne, wysłuchawszy tego usprawiedliwienia starego komunarda, wybuchnęli śmiechem i przebaczyli mu wizytę u Carnota. Lisbonne rozbroił ich zupełnie, a nawet cień podejrzenia usunął, kiedy oświadczył, że frak szczęśliwie odzyskany, gotów jest pożyczyć każdemu z kolei towarzyszowi. Ciekawa rzecz, czy w tym stroju „arystokratycznym" zjawiać się będą u Carnota, aby stwierdzić orzeczenie Lisbonna, iż nowy prezydent sprzyja ludowi?...

* * *

Amerykański humor. W jednym z dzienników amerykańskich ukazało się niedawno następujące ogłoszenie, pisane bombastycznym stylem reklamowym: „Każdej osobie, która nadeśle do podpisa-

nej niżej firmy przemysłowej kwotę 50-ciu centów, przesłaną zostanie natychmiast bezpłatnie: *najlepsza w świecie maszyna do szycia.*" Tu następował adres owej firmy. Zdawałoby się, że amerykanie powinniby się znać wzajemnie dobrze, a jednak znalazło się sporo osób, które w ogłoszenie to uwierzyły. „Przemysłowiec" nie zawiódł ich zaufania, albowiem każda ze zgłaszających się z 50-ma centami osób otrzymała po jednej — igle. To właśnie ma być „najlepsza w świecie maszyna do szycia."

* * *

W oknie jednego z domów, przy ulicy Kruczej wystawiono kartę z napisem:

„Do sprzedania suka mops, bardzo przystojna, oraz szczenięta do niej podobne."

RÓŻNE MYŚLI.

Dorobkiewicze często rujnują się na to, aby z nich się śmiano.

La Bruyerè.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Wołkowskiej o ile nazwisko można było odczytać, *w Dunaju.* O cenie kolebki koszykowym sposobem, można powziąć wiadomość w sklepie wyrobów koszykarskich przy ulicy Marszałkowskiej N-r 138, po lewej ręce idąc od ogrodu Saskiego, przed ulicą Śto-Krzyzką. List z takim adresem dojdzie z pewnością.

Ogłoszenie.

„Szanowny panie redaktorze!

W imieniu profesora uniwersytetu w Giessen, d-ra P. Bradkego upraszam, szanownego pana o zamieszczenie w jego piśmie następującej wzmianki.

W drodze między Giessen a Kijowem zaginęły w Listopadzie r. z. dwa rękopisy sanskryckie, formatu in 4-to, zawierające około 100 arkuszy pisma; pierwszy z nich w formie kajetu, obwinięty w papier, drugi znacznie cenniejszy, oprawny w grubą okładkę.

Pakiet z rękopisami był otwierany na granicy w Aleksandrowie, zradza się więc przypuszczenie, iż rękopisy rzeczone dostały się przypadkowo do jakiegoś obcego pakunku.

Niżej podpisany uprasza wszystkie czasopisma polskie o powtórzenie niniejszej odezwy i wzywa jednocześnie pp. bibliotekarzy, cenzorów, oraz osoby prywatne do zwrócenia uwagi na pomienione rękopisy, oraz odesłanie ich pod adresem prof. Knauera w Kijowie, lub też zawiadomienia tego ostatniego o odnalezieniu manuskryptu.

Właściciele rękopisu przyobiecują znalazcy wysoką nagrodę za odesłanie lub zawiadomienie o odnalezieniu rękopisów.

Proszę przyjąć i t. d.

D-r F. Knauer, prof. uniw. kijow.

Kijów, d. 1 Marca 1888 r."

PRZYJACIELA DZIECI

numer 10 wyszedł z druku i zawiera:

Ropucha.—Wieśniaczka z okolic warszawy (drzeworyt). — Poranek (wiersz). — Stary dom. — Samum w pustyni (z drzeworytem). — Zwierzyniec (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Pobyt Olesia na wsi. — Elegantka (wiersz z drzeworytem). — Papla. — Do mego Wacława (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.

PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie i w kwartale przyszłym pod temi samemi co dotąd warunkami.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Февраля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.